HENRYK PTAK

KRAKÓW — MOJE MIASTO


Rys. F. Janczyk.

POEZJE Z ROKU 1933.

H. PTAK

KRAKÓW — MOJE MIASTO



Rys. F. Janczyk.

POEZJE Z ROKU 1933.

GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — WARSZAWA

KRAKÓW — MOJE MIASTO

NR. EGZEMPLARZA: ....

ZNAK OCHRONNY: ______________

ODBITO W ILOŚCI PIĘĆSET EGZEMPLARZY
W DRUKARNI PRZEMYSŁOWEJ W KRAKOWIE 1933 R.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

PRZEDSŁOWIE.

Kraków jest miastem osobliwem. Powszechnie zachwycają się niem, a nawet nazywają je polską Florencją. Ale mało jest takich, którzyby chcieli w niem stale mieszkać i czuliby się w niem dobrze.

Kraków posiada swoją szczególną atmosferę, którą możnaby nazwać duchem miasta. A w sferze duchowej rządzi prawo: Podobne przyciąga podobne.

Kraków jest miastem bardzo starem i na jego atmosferę składają się wieki. W ciągu tych wieków odgrywał on rolę pierwszorzędną. Z myśli, marzeń, uczuć i czynów tylu pokoleń pozostawała w nim jakaś suma energji, która unosi się w jego atmosferze jak norwidowy upiór, jak nieubłagana konsekwencja, jak fatum, naginając do siebie ludzi i wypadki. Oblicze tego fatum jest tajemnicze i zmienne jak zmiennemi były wieki, które przez Kraków przechodziły. Ale najsilniejszy stygmat wycisnęły na nim wieki średnie wraz z trzema królującemi w nich cherubami: mistycznym, rycerskim i spekulatywnym. Wieki średnie Kraków zbudowały i uczyniły go potężnym. Taki Kraków może pociągać do siebie tylko ludzi o duszy zupełnie odmiennej niż mają czasy dzisiejsze. Dlatego i w literaturze Kraków przyciągał nieliczne tylko umysły, a głównie takie, które miały jakieś podobieństwo z duchem tego miasta.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Z wielkiego zbiorowiska poetów jeden tylko Wasilewski Edmund, a po nim dopiero Stanisław Wyspiański czuli się najbliższymi duchowi Krakowa i nim do głębi przesiąkli. Niemniej jednak piękno Krakowa jest fascynujące. Dziwić się trzeba, że w literaturze naszej niema dotąd ani jednego poety, któryby wyzyskał jego legendy, tradycje w tej formie, jak to uczynił Rodenbach w stosunku do tego starego miasta, jakiem jest w Belgji Bruges. Dla Wyspiańskiego był Kraków niepokojącem zagadnieniem o wielkiem dramatycznem napięciu. Natomiast dotąd nie znalazł on swego wyrazu w polskiej liryce. Wielki nasz liryk, długoletni mieszkaniec Krakowa, Adam Asnyk, przechodził przez ulice starego Krakowa obojętnie. Nie czuł on nigdy ducha Krakowa i nie rozumiał go zupełnie. Dopiero wśród późniejszych poetów lirycznych widać głębsze zainteresowanie się starym Krakowem, niewątpliwie pod wpływem St. Wyspiańskiego. Dlatego taką miłą niespodziankę stanowi niniejszy zbiór wierszy p. Henryka Ptaka. Autor w literaturze jeszcze nieznany. Ale ten debjut jego zapowiada wiele. Uderza przedewszystkiem jakaś świeżość i nowość spojrzenia na stary Kraków, koło którego codzień przechodzimy, nieomal go nie spostrzegając. Młody autor wyczytuje ducha starego Krakowa wprost z jego murów, z tych żywych kamieni i poprzez nie dochodzi do własnej, oryginalnej wizji artystycznej. Owo spoufalenie się z Grobami nie prowadzi go do wrót Śmierci, ale wprost przeciwnie do wrót zwycięskiego Życia. Nie wchodzę w zagadnie-

nie formy, o której nie tu miejsce mówić, ale porywa mię to przedziwne umiłowanie starego Krakowa, który woła wielkim głosem, że nie umarł, że żyje, że ma jeszcze wiele do powiedzenia i to nietylko w literaturze.

Dlatego tym wszystkim, co się ze starym Krakowem zżyli, niniejszy zbiór wierszy powie wiele, a może tylko przypomni to, o czem w cichej nocy kamienie starych murów gawędzą.

Kraków, 31 maja 1933 r.

Ludwik Skoczylas.

MOJEJ ŻONIE

JANINIE.

HOŁD NA WZGÓRZU.

Osiadł na wzgórzu w kaszteli kołpak metalicznie strojny,
czeka na należne hołdy w szumnem otoczeniu świty
wieżyc i baszt w beretach, przetrzymał zamieszki i wojny
z dachów przyłbicą wzniesioną, wieków patyną okryty.

Wojska u stóp ustawił z armat, spiżowe, zaciężne,
które sponad ziemnego nasypu wieści nadsłuchują,
a wieże z kolją smoczą w szyszakach wydźwignął jak księżne
Piastów i Jagiellonów, podobne dwom wysmukłym tujom.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Obom biją serca z dzwonów: Zygmunt ł Kazimierz Wielki,
budząc podźwiękiem kruszcowym radość i tłumne zadumy...
ta z lewa ciemnych naramienników ubrała muszelki,
druga zaś odprawia ze Świętymi celebralne sumy.

Zpoza piętrowej kotary mieszkań ciśnie się nieśmiało
dworska służba: trzon z wieżą, pacholęciem chudem.
Ponad dachem kościoła od smukłej wieżyczki powiało
oczu szeregiem wpatrzonych w wizyj katedralnych złudę.

Z muru fałdów wyjechał w galopie na cokół Kościuszko,
ostrogą i uździenicą, w miejscu — rumaka osadził.
On, Hetman powstańczy, rogatywki kłania się rogóżką,
jakby witał poczet królów, lewicę oparłszy na szpadzie.

GONTYNA.

Zachodząc wskos przechodniowi wąską i kamienną drogę —
przystanęła szkarp łapami święta — Idziego —
[g o n t y n a...
gotycką ciemnicą źrenic ludzi w przechodzie się ima — —
pobliskie drzewa zdają się chcieć ją podtrzymać... niebogę.

Być może, że... zgubionego szuka na drodze — promienia,
którym Madonna blask oczu szczodrze rzuciła przed
[Siebie — — —
a może wieżycy rylcem wiek swój miarkuje na niebie...
i bielmo spojrzeń zagasłych... migotem lamp rozpłomienia.

W cichej zadumie wystarcza, sędziwej tej samotnicy,
że w wiotkich objęciach drzewa swemi ramionmi ją
[pieszczą — — —
Z wyżyny wieków dziewięciu przestrogę pragnie snuć
[wieszczą,
stuliwszy lędźwie i barki w fałdzisty mur włosienniczy.

Ukojeń żądzą trawiona i tęsknot żarem jak zniczem,
podłużną sionkę przysuwa do torsu mrocznego wnętrza —
by przecież... widzieć — coś lepiej, wyniosłe okna wzwyż
[spiętrza,
wciąż nadsłuchując gędźb dawnych, płoszonych echem
[dzwonniczem.

Antyczne w sobie zamknęła prastare rzeźby i stalle,
jakgdyby czasów najnowszych zimnego bała się oka — —
wciąż w niej kryształne tkwi Piękno i Wiara przodków
[głęboka!
Nieodgadniona jest ludziom... jak Romie — plemiona galle.

W PROMIENIU KRZYŻA.

Na trawniku — legł krzyżem kościół przy Wawelu, —
w głębi nyż wachlarzowych przystanęli Święci...
Jeden w wejście zaprasza zgadnąwszy myśl wielu,
a reszta w zamyśleniu głębokiem się smęci.

W progu stoją dwie wieże, jak strażnice knezie,
podpierając gmach splotem pilastrów bliźniaczych —
każda głowę ukrywa w metalicznym fezie —
i spod rolet jak powiek na puls miasta baczy.

W nawach złote ołtarze lśnią i blaskiem prószą,
siejąc wokół promieńmi jakby pszennem ziarnem,
a z sajdaków sklepienia śnieżnobiałą kuszą
sypią się świetlne strzały w przeźrocza oparne.

Piętrzy się posągami pozłota w szat płatach
i bieli z lustr kopuła mlekiem w kręgach zsiadłem,
rozblask spojrzeń anielskich od gzymsów ulata,
by zawisnąć poświatą nad Chrystusa stadłem.

Oto uczniowie z Panem siedzą przy Wieczerzy,
w przeczuciu nieszczęść wiodąc za Nim wzrokiem wszędy,
ze smutkiem, słowom Mistrza każdy ledwie wierzy,
tylko... Judasz posępny stroni od gawędy.

Na schyloną twarz cienie swą głową nagarnia...
gotowość zdrady — zda się — przytłaczać mu barki...
dręczy go Jezusowych ócz łagodność sarnia,
aż Judasz przed nią kryje bieg swych źrenic szparkich.

Tłum zdąża na Golgotę w mrowia kłębowiskach,
nad któremi w proporcu rzymski orzeł wzlata...
Chrystus upadł pod krzyżem! Przez tłum się przeciska
Cyrenejczyk, podnosząc Znak Zbawienia świata.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

STARA SYNAGOGA.

Przed życia ulicznego zamknęła się wrzawą
z palonych cegieł — w mury — zaplecionym grzbietem,
patrząc w Kaźmierz z attyki serją oczu rdzawą,
na rogach, jak na czole, z pismem w guz zamkniętem.

Pierścieniem głów — kamiennej balustrady — pionków,
w szachownicy ośrodku stoi, jak królowa —
spod szyb spuszczonych powiek patrzy na współziomków,
szeregami świeczników, jak hydra stugłowa.

Z jej ramion ornamentem wyrastają skrzela,
a piszczele — zygzaki kabałowe kreślą.
Wdole tłum, jak rój chrząszczy, modlitwy powiela,
które cantor wydzwania w bimie gardła gęślą.

Żydzi, przed Arką, kłonią jak trzciny nad wodą
czołami zwichrzonemi futerkiem sobolem,
sploty liści taneczny pląs w zasłonie wiodą,
kędy święte Rodały drzemią ksiąg zespołem.

Kolumny nad ławkami, jak liści fontanna,
dzierżą dłoni wachlarzem ostre łuki stropu,
pośród nich sieć pająków, jak żądza zachłanna — —
niby klątwy synonim, lub odrodzeń szkopuł.

OKWIAT BAROKOWY.

Tum, spowity w kształt krzyża przez rozpęd prac wartkich,
kopułę, jak zalążnię, rozprężył potęgą —
w przecięciu naw po uśmiech kulistością sięgnął,
a ścian czterech płaszczyzny skroił w kwiatu płatki.

Mniejsza kopuła klękła u wyższej podnóża,
przypadając bezradnie do jej murzysk głuchych,
jakby u niej szukała siły i otuchy,
niczem Madonna, gdy się z pod Krzyża wynurza.

Drzwi oplotły kolumny i liści wiraże.
Święci pośród pilastrów posługę kustoszą
sprawują i z wnęk głębi Ewangelję głoszą,
chronieni, od dżdżu, muszel kamiennych wachlarzem.

Stanął rząd Apostołów, jak na sobór walny...
każdy dzieje swych przeżyć gestami wyłania
w rozgwarze ramion nieme wymawiając zdania...
Ówdzie Święty w portalu czyta z księgi psalmy.

Świątyni strzegą w zmierzchu Apostołów cienie,
stojąc przy drzwiach żelaznych płasko, nieruchomo...
w głuchą przestrzeń bezkrwiście szepcą: „Ecce Homo"
od wieków na placówce stojąc niewzruszenie.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

LUDU, MÓJ LUDU!

„Ludu, mój ludu! cóżem ci uczynił?"
zawodzą struną jękliwą organy...
W krzyżowych łukach, ton cichy, spłakany,
drży na grobowców marmurowej skrzyni.

„Czemem zasmucił, albo w czem zawinił?"
skarżą się echa rzewliwie, a wtórnie,
po śnieżnym kolumn spływając koturnie
poszeptem miękkim: „Za wasze przewiny"...

„Jam cię wyzwolił z mocy faraona"
słowa w gzyms pereł dwurzędem się wiją,
po wstęgach kopuł pną się srebrną szyją,
aby w pieczęci krzyża cicho skonać.

„A tyś przyrządził krzyż na me ramiona"
brzmienia organów ze śpiewem się łączą,
kadzidlnych dymów nakryte opończą.
Akt Odkupienia Męką się dokonał.

WIEŻA RATUSZOWA.

Orjon, ku Ratuszowej nachylony Wieży,
zda się szczytu okapów skrajną gwiazdą sięgać...
na srebrnych ćwiekach wisząc w planetarnych kręgach,
jakby przestrzeń, pomiędzy nią, a sobą, mierzył.

Ona zaś, jakby chciała unieść się w przestworza,
wysuwa, niby skrzydła, skostniałe wykusze,
sprężone snać do wzlotu rytmicznych poruszeń,
ufna, jakby w niej tliła ruchu iskra boża.

W rogach okapu cztery skamieniałe urny,
jakby ręce Janusa wzniesione ofiarnie...
pod niemi pasma murów, jak zetlałe darnie,
z kołami zegarowych tarcz, o licach chmurnych.

Z czwórlica biją w przestrzeń dźwięczne godzin krople,
które zegar w swych szczękach, niby ziarna, miele. —
Korpus wieży ujęły kolumien piszczele,
jak lat płynna kolejność, tchnięta w kształty sople.

Dźwigary, wsparte na ścian wysmukłem ramieniu,
rzędem pod brzeg okapu przypadły srebrnawy,
bieląc się na tle murów, jak jasne agrawy.
W szczytowym hełmie wieży czas kolory zmienił.

Pod rzęsami krużganków łuki się rozpięły,
jakby godziły ostrzem w naszyjnik z kamieni...
Granat nieba refleksem swym głazy ocienił,
głazy, pomne epoki Piastów i Jagiełły.

Na wierzchołku wieżycy stanęły na czatach
insygnia władz królewskich: Jabłko i Korona,
odlśniewając poświatę płynącą z Orjona,
jakby się chciały blaskiem z gwiazdami pobratać.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

WIZJA FRANCISZKAŃSKA.

By ucieleśnić wizję Świętego z Assyżu,
wzniesiono Franciszkanów Kościół, w kształt znamienny,
wnętrze gmachu, jak śpiewem anielskiej nowenny,
wypełniono modrością nadchmurnego wyżu.

Ze ścian wonieją róże i nasturcje pnącze,
zorza płonie na łukach, lśniąc w krasnych piór okach,
a gwiazdownic i bratków gama barw szeroka,
w wieńczące koła, wiąże się z koniczyn pączem.

Ściany patrzą źrenicą błękitnych ócz pawich,
wiosną sieją pierwiosnki, a mlecz złotem ciepła — — —
Twarz Ascety, nad kwieciem, na ścianach zakrzepła...
witraż Chrystusa w cierniach szkarłatem róż krwawi.

Bóg Ojciec świateł wstęgą lśni w cieniach nadchórza
i władnej dłoni ruchem światy nowe stwarza — — —
biją od Jego lica blaski do ołtarza,...
z poprzecznej nawy zagon lilij się wynurza.

„STAŃ SIĘ!".

(Witraż Wyspiańskiego w Kościele Franciszkanów).

Głowa Stwórcy wibruje światłem słońc tysiąca...
ekshaluje miljony światów twarzą w twarz,
władczym ruchem nad głębin chaosami trwa!
Plazma światów tężeje, ognista i wrząca!

Myśl widnieje, jak błysków rozszczepiona wstęga,
skupiając w sobie twórczy ogień, żar i moc,
by tchnąć złotą ulewę zórz w martwicy noc.
Z zamieci mgławic zarys światów się wylęga.

Życie planet w tęczowych kolorach się jawi
i wiruje gwiazd przędzą w szlaku mlecznych dróg.
Bezkresną ciemń brzask słońca świetlistością zmógł,
sycąc iskrami życia korowody mgławic.

Kometa Woli Twórczej mknie prze opar mgławy,
Wywołując z nicości mroków... żywy świt,
by drogowskazem ruchu w konstelacjach kwitł
nad szybami wód lśniących i w skrzepnięciach lawy.

W Prawicy Bożej drzemią przyszłych klęsk symbole,
a fosforyczne koła mżą się w jamach ócz,
jak wspomnienie niebytu, ciemności i tucz,
zawieszoną zagadką nad kręgiem pokoleń.

NASTRÓJ JESIENNY.

Barwnemi błyskami lśnią się liście — —
jak czółna motyle fruwają na wichrze...
Klon dłoni tysiącem potrząsa złociście
i rzedną okiści napowietrzne spichrze.

Ku ziemi lecą rdzawo-bursztynowe roje — —
w szlochach cichych szumią drzewa...
W otwarte dłonie — suje wiatr wachlarzy zwoje
i u stóp zeschłe strumienie ogniste rozlewa.

Drzewa wyciągły obdarte ramiona ku niebu
i w niemej kamienieją prośbie — — —
ulewa szemrze z chmur czarnego żlebu
i tężeje w szklistej, lodowatej groźbie.

Lecz gdy słońce chmury promieniem rozetnie
i przylgnie do ziemi ciepłemi wargami — — —
znów się rozśpiewają seledynów fletnie
harmonją zachwyceń, olśnień i omamień.

USTA.

Wsparci o brzegi lady stajecie przede mną,
w futrze, sukmanie, płaszczu lub łachmanie,
a wargi wasze — czasem — ściegi woli zemną,
albo je rozchybocze nieradności drganie.

Niekiedy widzę mściwe dwa podłużne skrawki —
czasem zaś — rozchylą się one w kształt lotosu...
indziej znowu pęcznieją, zmarszczone, jak ssawki,
zanim błysną wiśniami — przed wydaniem głosu.

I formują się, jako czworoliść akantu — — —
a także — w bliźniąt pasma — ruchliwe, jak jętki...
Usta pieściwe! Usta... miękkiego dyszkantu...
czasem żądzą rozwarte w wymowie słów prędkich,

to zimne stanowczością i na wszystko głuche,
albo dzikie, nerwowe, połyskliwe kłami,
to znów zwarte milczeniem, umiejące mamić,
albo więżące jakby głos jękliwy w krtani,
czasem zaś — — — tak błagalnie złożone, jak dłonie
i ciche, jak spojrzenie, patrzące sponad nich...
widzę was, o wy Usta!... mój wzrok wciąż was chłonie.

ARCHITEKTURA PLANT.

Przerzedłszy Plant Krakowskich liściaste podsienia,
suchych liści deszcz pada i w strugi się spienia.

Ku ziemi rój płomiennych kłoni się motyli,
obiegiem paraboli słońce wdół się chyli.

Koralową łzą — za czemś — płacze jarzębina,
a dąb swoje konary w rdzawe paljum wpina.

Pierzasty liść akacji żółknie coraz gęściej,
kasztan brzegi listowia zaciska, jak pięści.

Bzy w alejach oblokły się pilśni kurzawą,
klony z ubocza prószą poświatą złotawą.

W barwnej liści zawiei kwitnie kolor złoty,
nad nim pęcznieje barok i wzbija się gotyk.

Molową gamą skarżą się wichrów wołania,
a na murach cień drzewa za cieniem się słania.

Jak w krepie drżą grabiny bezlistne ramiona,
zwleka się pajęczyna w konarach uśpiona.

Kasztany swe konary w ostry łuk rozwarły,
na kształt kopij w turnieju, od wieków zamarłym.

W zbroicy — wśród zjaw domostw płonących — Grażyna,
w kręgu rdzawych okiści, nad mężem się zgina.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

A brzóz falanga cicha, nad ścieżką schylona,
płaci haracz jesieni, w złocistych pokłonach.

Wierzby zboku pomnika Grottgera — spłakane,
smęcą się wizją dwóch dusz, lecących w Nirwanę.

Z płatów liści, jak z wiotkich strzępów złotogłowiu,
wschodzą baszty w obsłonach, jak księżyc na nowiu.

Perli się wód kaskada i szemrze wodotrysk,
śpiew w melodji Lirnika na strunach się rozprysł.

Znak Wolności, rozrosły w drzewo, pręży mięśnie
ku różom, zległym w darni, jako dzieci we śnie.

Z ubocza płoną topól wskaźniki przewodnie,
a wśród liści ulewy... spieszą się przechodnie.

SARKOFAG PORFIROWY.

Nie wiem, czy na odległej od ziemi planecie
czas pędzi w odpowiedniem do naszego tempie,
czy wymiar w życia kole wije się i plecie
i ktoś żyjąc, w gwiazd bezmiar wpija oczy sępie?...

Może komuś... z gwiazd owych... Kościół Marjacki
wydałby się... z porfirów sarkofagu zjawą,
która wkoło wyciąga iglic białe macki,
bo ją ciasne pierścienie ziemskich orbit dławią.

U stóp majaczą wieżyc strzeliste pochodnie
i okien infułami i skrą cegieł płoną,
portal wygiął cyborjum kontury zarodnie,
z nisz dochodzą choralne brzmienia Antyfoną. —

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Przelotem setką liter „U", skrzydeł łomotem,
mroczą niebo gołębie... (Kapitolskie gęsi)
część osiadła na skrętach maswerków, a potem
reszta brzegi kapliczek sterowcami rzęsi,

Zrywają się z gzymsowań, skrzydłami trzepoczą,
by gromadnie lądować na grobli brukowej...
wydają się, w pstrych łatach, być armją roboczą,
która spada z błękitów za ziarna połowem.

Jeden, w chuście kremowej z metaliczną krezą,
ustroił brzegi skrzydeł szlakiem barwnych naszyć,
innemu piórka w wachlarz w ogonie się jeżą,
a on, tokując, trwożną towarzyszkę straszy.

Obok, w ciasnym mundurku, kominiarczyk mały
zrywa się wgórę, skrzydłem w powietrzu wiosłuje...
może chybki posłaniec bogini Kupały
leci spraszać na ucztę rodzeństwo i wuje.

Znów rzuca strzępy cieniów gołębi gromada
w murach świętej Barbary opadając szkarpie,
albo okien Marjackich okapem owłada
i dziobkami pstrych główek nikłe ziarno szarpie.

Na prastary gołębnik padły cieni czerwy
i dłóto dachu tępią pomroczyska mrowiem,
w łuku Ogrojca Chrystus modli się bez przerwy,
chociaż — dawno — znużeni zasnęli uczniowie.

OŁTARZ WITA STWOSZA W KOŚCIELE MARJACKIM.

Gdy Stwórca z niezgłębionych mroków światy tworzył
i rozpalał Swem tchnieniem złotych mgławic wnętrza,
gdy na niebie rozścielał krąg różanej zorzy
i łukami barw tęczę ponad ziemią spiętrzał,
powstawała w nim żywa człowieka drobina,
która — w miljon lat później — kolor w polichromję
miała wcielać kościelną i w glorję rozpinać
i z arabesków lśnienia tworzyć biel lub płomień.

Ona to umie tęczę w ostry łuk przekować
trzon jej wtłaczając w puste podsklepienia ściany,
draperję nieba rozpiąć w płaty skrzących pował
i powiązać strop rytmem, w zwornikach nizanym.

I ognie wśród tła rozet na ścianach rozpalić
i w żłobkach łuków komet rozszczepić warkocze,
a w Ołtarzu Stwoszowskim... zagrać gamą żali,
gdy się Najświętsza Panna w agonji chybocze.
— — — — — — — — — — — —

Madonna, jak w omdleniu, ku ziemi się słania...
Jakób, ramion bezwładnych trzyma ją kabłąkiem...
Jan, wśród loków drgań, ukryć pragnie ciche łkania...
a Piotr, modły przedzgonne snuje słowem gromkiem.
Szymon zaś, na znak śmierci, gasi płomień świecy...
i opuszczeniem ramion skarży się Mateusz...
Jakóba gest rozpaczny rezygnacjom przeczy...
reszta, w zadumie patrzy, jak ongiś... w Emaus.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Na kartach ksiąg widnieją boskie przepowiednie — — —
bieg przeznaczeń — z witrażów — zieje barwną twarzą —
ze ścian, szepcą Cheruby litanje powszednie,
a na Krzyżu... krwi krople ciężar przewin mażą.

Z okien, turkus i opal płomieniami gwarzą
i grają na chust ścianach, jak na rajskiej łące,
a płaszczyzny sufitów łączą się podażą
plazmy złotej, strumienie krwi siejąc gorące.

W nawach, śmigają łuki, dróg krzyżowych szlaki,
zsuwając cień pomroczny na Chrystusa ciało — — —
Już pusto... został tylko stop zmierzchów wszelakich
i... to... Boga spojrzenie, co w blaskach szyb dniało.

ŻABOT WENECKI.

Środkiem rynku, wygiętych łuków masą tłumną
biegnie trójskrzydła bożka Merkurego arka —
śpieszą arkady, białych szeregów kolumną,
a nad niemi attyka, falista i szparka.

Dłużą się w balustradach wielolistne hafty,
grodząc na piętrze okien przeźroczyste krosna,
w przejściu zwisa nóż, piętnem Kaina przeżarty...
nad ludzką falą pląsa beztroska rozgłośna.

W gmach biją wonie z kwieciarń przez balkonu nozdrza,
z dwu stron znad arkad murów kurtyna się wznosi,
którą rząd pionków zda się do stopni przygwożdżać,
wgórze maski ucieszne wyrzeźbili Włosi.

W głębi łuki, jak zwarte w pojedynku szable
i kramy, które kupiec we wnętrzu otworzył —
to Sukiennice, strojne w znaki herbów noble
i w koronki żabotów weneckiego doży.

KONIKI DREWNIANE.

W półkoszkach, jak w płetwach korabich,
rząd siwków się chwieje drewnianych — — —
dyganie w takt jazdy wzrok wabi
przechodniów, wpatrzonych w szyb ściany.

Jak dzieci swawolna gromadka
biegunów spychają się prętem,
na karku im grzywa lśni gładka,
spływając po szyi w szwy kręte.

Rozwarły spienionych warg szpary,
W różowy fałd szczęki swe kryjąc — — —
Ostrożnie młódź wiezie koń kary,
wygiętą wkrąg pusząc się szyją.

Wjeżdżają na Rynek, z terkotem,
zdziwione, że... nie... zarośnięty,
że kwiaty tu leżą pokotem,
że trawy tu niema, ni mięty.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

W drobiazgów pstrych patrzą bawidła
i w kwiatów pęk, z bibuł dzierganych
i w sznurów zwój, groźnych jak sidła
i w aut, mnożących się klany.

Owiewa je zapach jedliny,
poznają stokrotki, prymulki,
dywanik czerwony lub siny
i zwitki i motki i szpulki.

Zadziwia je sobą tulipan,
płonący owalnym kielichem,
lub bruku płat ziarnem obsypan...
i drobiu falangi, tak ciche — — —

I z wiklin kołyski i łódki,
i pendzle rzędami wiszące
i szczotek włos lśniący i krótki,
jaj mendle i mleko w kamionce.

Dygają główkami z olśnienia
niepomne przeznaczeń swych wcale...
aż nagły-wnętrz mrok je ocienia...
kramarskie wchłonęły je hale!

KRAKÓW — MOJE MIASTO

ANTYCZNA SZKATUŁA.

Jest jak patynowana, podwójna szkatuła,
nakryta zielonawej kopuły okwiatem,
Twarda Piasta dłoń z rynkiem Krakowa go skuła
obramieniem ujęcia romańskiem, skrzydlatem...

Ale słowiańska w niego wcieliła się dusza —
w więzadłach, palce głazów zaciska w różaniec,
tysiąclecie na wieki i lata rozkrusza,
strzegąc świętych relikwij, bacznie patrząc na nie.

 4

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Jak pod zmarszczkami oczy Perkuna uparte,
lub Trójcy boskiej w jedno w prabycie wcielenie,
spod rzęs okrągłych okien patrzy w życia kartę
bez trojga oczu zmrużeń — i nieustraszenie.

Pośród aniołów Biskup przystanął na starcie
i znad portalu ziomków połabskich wygląda...
próżno oczy wysila wyblakłe i starcze,
w okrąg złoci się barwny tłum i blasków blenda.

Ten sam zmurszały okap graniasty wokoło,
jak ponad ławą chaty Piastowej poddasze
i jednakie wciąż drzewa liśćmi szepcą molo
niby dawne, pogańskie uroczyska nasze.

BŁYSK WŚRÓD MROKU.

Jeszcze się wieża rysuje świateł odbiciem kokonnem,
chociaż w tiulową pomrokę zwolna spowija się miasto,
a dyski okien okrągłych gloriami błyszczą jak szronem
i księżycowi podają płonące lampki swe hasło.

Nad arkadami łukowe tkwi malowideł naręcze,
a marmurowe po bokach, w rzędzie, filary, kolumny
tryskają w rącze zimnego chalkopirytu otęcze
i uskrzydlają kościelne nawy odblaskiem poszumnym.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Ze sklepień, wieńców rozety, jakby okrycia całunne,
zwisają ponad kościelne, srebrzystosinawe złoże,
sieją się hymny żałobne i marmur lśni się szkliw runem,
gdzie szlaki różanobiałych zórz dłonie wywarły boże.

Ofiarny ogień, spalonym knotem, przygasa i szczęka,
lamp purpurowych się mrużą jasne, złociste źrenice,
jakby się cieniem dławiła baldachu ołtarzna wnęka...
na ścianach, „Mementa mori" pieczęcie tkwią żałobnicze.

Piorunów zygzak od zewnątrz zajaśniał w błyskach
[i lśnieniach,
oświetlił ręce rozwarte, wyłonił lica pogodne
i Chrystus ponad portalem w rozwarciu ramion skamieniał...
u stóp posągu, nadole, wierzei czerni się odmęt.

NAD ŚWIĘTĄ SADZAWKĄ.

Klasztor się murem rdzawym, jak szańcem otoczył
i czoło naprzód w tabor pochylił warowny,
jakby mu groził atak od Wawelskich zboczy — — —
w rogach czają się wieże, jak sylwety głowni.

Schody — w skrętach — jak karty otwartych brewiarzy,
Wgórze — białe wieżyce, jako dwa anioły,
zdają się w łonach dłoni szale przewin ważyć — — —
zwadę króla z biskupem, dzieląc ją napoły.

Tuż, sadzawka ujęta w kamienne koryto,
nad nią, święty Stanisław (przy nim orłów straże)
w przeźroczach wód zmarszczonych postacią odbitą,
Piotrowinie, świadectwo Prawdzie dawać każe.

Patron Polski naręczem przygarnia pastorał
i z Wskrzeszeńcem drży w wodzie cieniem rozpostartym,
jakby z widmami śmierci w obłokach się porał,
tam, gdzie orły dokoła zaciągają warty.

Wiatr podmuchem przesuwa pionki balustrady,
to staw szeptem odmawia koronkę za zmarłych, —
znad fasady się wznosi anioł z wieńcem blady — — —
kryptę ognie witrażu — poświatą — rozwarły.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

BARBAKAN PRZEBUDZONY.

Rozległy się pobudki i gromkie fanfary
rogu trębacza z stopni Jagiełły pomnika — — —
Sen z baszt-powiek uleciał, letargiczny, szary
i skra przebudzeń głazy i cegły przenika.

Mury drżą elektronem, kamień pyłem strzyka,
strzelnicą patrzą wieże, krużganki i baszty,
przestała płakać wierzba, drżeć liściem osika,
idzie poszept: — Gdzie topór?... Gdzie dzid naszych
[maszty?...

Słychać szmer modlitewny od Florjańskiej Bramy,
której przejście zastygło w ściany ostro-łukie...
podsieniem się przesunął cień rozkołysany...
to tramwaj... jak warowny wóz... przemknął ze stukiem!

Płoche gołębie w blankach Barbakanu gruczą,
jakby coś tłumaczyły wieżyczkom strażniczym,
chmury skryły przed słońcem miasto grzywą kruczą,
wicher, na szczerb liczydle, trwałość murów liczy.

Baszty: Pasamonników, Florjańska, Stolarzy
i Cieśli, zwarte w cegieł pasowne spoidła,
zdają się w swoich łonach sny przeszłości ważyć...
a Rondel, bram muszlami, zda się wieści sidłać...

wieńcem wieżyc nastroszył wierzchołki, jak igły,
wstępując w pierścień fosy stopą odnóż bosą,
taśmę gzymsów najeżył ostrokołem śmigłym,
nadsłuchując odgłosów, co się w echach niosą.

W ścian oplocie Zbrojownia wzniosła brew dogóry,
snać zdumiona, że w murach swych gości Muzeum
zamiast osęk, halabard i mieczów ponurych...
Od kościoła Pijarów płynie śpiew... Te Deum...

KRAKÓW — MOJE MIASTO

KOŚCIÓŁ W GHETTO.

Jak okręt — widmo, w dokach murów wylądował,
w walce z żywiołem — przez sześć wieków — niezmożony,
oknami strzelnic śledzi życie wciąż, od nowa,
rozdzielając zieleni piany na wsze strony.

W głąb przystani się zarył obłych szkarp wiosłami,
z boku przytroczył kruchty, jak barki i łodzie,
szkarłatnym żaglem dachów karbowanych mami
i wieżą masztu niewód nieboskłonu bodzie.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Wypiętrzył wkrąg iglice, jak wioseł imadła,
na wzór wodnych skib sprężył linje szkarp wysmukłych,
na lufy rdzawych wieżyc bezczynność opadła
kapturem... dwa kominy zamieniając w kukły.

Do rydwanu okrętu wieża się zaprzęgła,
w jednym z nim stając rzędzie, jak morska latarnia...
ślepym wzrokiem spoziera przez drewniane sprzęgła
i na hełm metalowy cień dzirytów zgarnia.

Tejże barwy — z okapu — spięła pelerynę,
biorąc strój z „Kanoników Świeckich, Regularnych",
blanki graniastych bioder zwypukliła krzynę,
na nóg czterech przyporach rozparta poczwarnych.

KOKOSZ KAMIENNA.

Szeroko, jak kokosz troskliwa przysiadła,
by okryć puszyste piskliwe kurczęta
i szkarp swych łopacich rozkłada trzymadła,
w skupieniu zacisznem nad dziećmi rozpięta.

Nad starym Kaźmierzem okien wnęką węszy,
wgórę wyciągając pomarszczoną szyję,
jarmułką nakryła zegarowe rzęsy,
a w dziobie kolczastym cios dla wroga kryje.

Przez szyb szklannych półki, na wzniesionem piętrze,
widać czarnych tablic rozkraczne sztalugi
i ścian śnieżno-białych kwadraty wewnętrzne
i zygzaków liter wąż, świecący, długi.

I zdala się fryzem attykowym szczyci,
szlakiem arkad nęci i do wejścia woła,
skrywszy się mantylli graniastem okryciem,
Ratusz na Wolnicy, teraz Miejska Szkoła.

W PROGACH UKOJENIA.

Czasem, kiedy ból w duszy, jako powódź wzbiera,
gdy dnia omłoty... śniecią zakażone więdną
i gdy w sercu goryczna powstaje zaciera,
Gotyk cię może dźwignąć strzelistością pędną.

Naciśniętych klawiszów jedna daszków gama
na frontonu organach niemo ci zaprzeczy,
że w życiu nie przeważa... boleść — tylko — sama,
chociaż potrafi w siedem uzbroić się mieczy.

Rząd organnych piszczałek zdoła cię ukoić,
wiodąc wejściem stylowem (w kształt konfesjonału)
przed reljefy rzeźbione na licach podwoi...
Z białych naw spłynie na cię otucha pomału...

W odrzwiach liście rzeźbionym otoczą cię puchem,
a pod chórem (brabanckich koronek robotą)
opamiętasz się własnych kroków echem głuchem,
zanim cię dźwięczne pienia harmonją oplotą.

Zworniki, jakby dzwony, zda się, że wieść głoszą,
a liście, z głów pilastrów, tryskają fontanną,
tęcze krążą, kołysząc wstęg obłocznych kosą,
z Kaplicy Różańcowej słychać pieśń poranną.

Kopułę Dominika aniołowie wieńczą,
stygnie przeszłość, przez lustra marmurów wessana,
krwistych pęków kamienną zamknięta poręczą...
W witrażu, Patron zgłębia Chrystusa Almanach.

Święty Jacek znad trumny zda się wyotchłaniać
swą zagrobną wędrówkę w zaświaty nieznane...
Truchła na rąk anielskich legła załamaniach,
widna przez gęsto - okich okratowań ścianę.

Przed stalle, spływa, jako czarny cień skrzydlaty,
zakonny orszak, w białych pod paljum sutannach,
zawodząc dziś, taksamo, jak niegdyś przed laty...
jak... w burnusach arabskich — patrol karawanna.

KSIENI.

Po kostki brodząc w ziemi kogoś wypatruje
i głowę kryje rudym dachu kapiszonem,
jakby wiek swój i czoło taiła zmarszczone,
wznosząc powieki dolne do ócz ciemnych ujęć.

Od Skałki, upodabnia Zakonnicę w kwefie,
jak w przechodzie, habitu swego wichrzy bryty
i łuk żeber opina w okrąg szkarp obszyty,
co ją, jakby w pląsaniu otoczyły elfiem.

W rogu, basztę w kaszkiecie stawiła, jak stróża,
co patrzeniem w trzy strony własny wzrok podniecił,
sztachety spięła w kształtne pajęczyny sieci,
z objęć krużganków wieżę graniastą wynurza.

Zboku, przygarnia kruchtę, klęczącą, służebną,
w mirtów swego welonu strojąc ją iglice,
które w pęki zakwitły srebrzyste nad licem
i nad szatą świątyni, fałdzistą i zgrzebną.

Łuki, jak dłonie mniszek złożone pokornie,
które kruchta fryzami w arkady przenica — — —
wielbi je — klęcząc — chochoł, narożna dzwonnica,
Hosanną wytrysnęły w tum — liljowe zwornie!

Błysnęła światłem szklanna kolczuga witraży,
by snycerskim w Ołtarzu odezwać się splotem — — —
Święty Jałmużnik, siejąc swe obole złote,
żebrzących oczu ciemnię pożądaniem jarzy.

ROZWARTA KSIĘGA.

Przyległe domy ująwszy pod boki
skamieniał w miejscu kościół Bonifratrów,
podniósł krzyż, jakby hostję, w ołtarzu wysokim,
przystając księgą złożoną z pilastrów.

Zgięte jej karty dzierżą w pyszczkach trzmiele
spiralą macek, jak rożki baranie,
które na kapitelach czyjaś ręka ściele,
wichrząc je w ostrej kryzy falowanie.

KRAKÓW — MOJE MIASTO

Kamienna księga na kolumnach spiętrza
wyniosłą mensę świętych całopaleń —
Słońce cieniuje — między kolumnami — wnętrza,
z których wystaje czarny krzyża goleń.

Dłonie pilastrów rozwite w przegubie,
promieńmi słońca modlą się ofiarnie,
garną przechodniów cienie skrzydlate i długie,
a wiatr kołysze wiszącą latarnię.

Z toni stalowej, srebrno - okiej Wisły
rozwarta kłami żelaznymi paszcza
wydętym mostem pusty wylot dróg upraszcza,
zasię wiązadła, jakby czujki zwisły.

BUNT ULIC.

W śródmieściu, stare domy raz podniosły bunt
przeciw nowicjuszom, co stanęli tuż...
Jakże to? — Jeden miernik? łokieć, łut czy funt
miałby być wspólny... dla nas i dla tych — bez dusz...?

Biadała Kanoniczna, a wraz z nią Tomasza,
połączona — przegubem rąk — z uliczką Krzyża,
a rozparta na szkarpach nóg, swój akces zgłasza
do rokoszu Pijarska i Sienna z pobliża.

Narożnik Mikołajskiej też przystanął wrogo
grożąc występem murów — intruzom — jak pługiem...
Owi zaś — patrycjuszom dorównać nie mogąc
portalem, ni wachlarzmi, — milczą rzędem długim.

Plebs widzi w nobilitas te łuki podniebień
i godła: „Palmy", „Murzyn", „Rak", „Barany",
[„Dzwony",
którym nic przeciwstawić nie potrafi z siebie,
krom okien i piętr liczby, pod niebo wzniesionych.

Kościoły zaś, jakgdyby przewidując starcie,
jęły głosami dzwonów do rozejmu wołać,
stanąwszy w ulic zbiegu, na wieczystej warcie
i wzniosły wieże wgórę, jak miecz archanioła.

Buntu ślad uwidocznił się, jak trwały karb,
w ścianach ulic, znaczących zygzakiem swój bieg...
mówią o nim występy kamienicznych szkarp
i zmienne pasy bruku, co przy domach legł.

SPIS RZECZY: